

# O Światowe Dni Starcostwa! Czyli starcy potrzebni od zaraz

Piotr Feliga

**szkice** **P**owyższy apel może się wydawać zwykłą emocjonalną reakcją na „wielkie święto młodości”, jakie miało miejsce w lipcu zeszłego roku na plaży Copacabana w Rio de Janeiro, gdzie kilka milionów młodych z całego świata wraz z Ojcem Świętym Franciszkiem celebrowało Światowe Dni Młodzieży. Wrażenie takie nie jest zapewne całkiem dalekie od prawdy, skoro po raz pierwszy z apelem tym wyszedłem na jednym z portali społecznościowych jeszcze podczas trwania transmisji z kończącej je Mszy świętej. Co więcej, ktoś może to wezwanie odebrać jako wyraz czarnej niewdzięczności za tak wspaniały dar, jakim jest powierzenie organizacji ŚDM w 2016 roku Polsce i Krakowowi – miastu świętego Papieża Jana Pawła II. Cóż jednak na to powiedzieć – że *zachwyca, kiedy nie zachwyca?*

Co mną kierowało, że zdecydowałem się śledzić tę transmisję? Sam nie wiem. Może przygasły już z lekka żar młodości domagał się należytą mu podniety. Może ciekawość tego, w jaki sposób nowy jeszcze wówczas, a od samego początku skory do niespodzianek Papież nawiąże kontakt z wielomilionowym tłumem młodzieży. Może chęć zobaczenia go sprawującego liturgię podczas jego pierwszej wyprawy zagranicznej. A może raczej Faustowska pokusa zatrzymania chwili, powstrzymania upływającego czasu. Nie wiem. Tak czy inaczej, doświadczenie to sprowokowało mnie do poczynienia pewnych refleksji.

Nie chodzi mi przy tym o chęć przywrócenia prostej równowagi w kwestii zainteresowania seniorami – nieproporcjonalnie mniejszego w stosunku do uwagi, jaką Kościół poświęca młodzieży. Nie chodzi też o chęć ulżenia ich doli, jako że – jak podają statystyki – seniorzy stanowią coraz bardziej liczną i prężną grupę społeczną, z którą młodzi niedługo nie będą mieli nawet szans się

mierzyć. Chodzi mi o coś bardziej podstawowego – na co zwraca uwagę już sam termin „starcostwo” kojarzony raczej z Fiodorem Dostojewskim niż z problemami współczesnej demografii, a co wymaga wyjaśnień.

Od zarania naszej cywilizacji przyświecały jej takie hasła jak: *finis coronat opus* (Owidiusz) albo „patrzaj końca” (Biernat z Lublina). Wskazują one, że definitywna ocena każdego czynu jest możliwa dopiero po jego zakończeniu, a decydując się nań, należy przewidywać jego najdalsze konsekwencje. Zasada ta dotyczyła każdego działania, a tym bardziej całego ludzkiego życia. Była nie tylko uniwersalnym wskaźnikiem postępowania moralnego wzywającym do odpowiedzialności, ale zapewniała także istotną rolę w życiu społecznym starcom jako tym, którzy – z natury rzeczy – bliżsi są „korony” zdobiącej dzieło życia. Była to więc również zasada kierująca życiem społeczeństwa tradycyjnego.

Starcy uosabiają takie wartości jak pewność, spełnienie, mądrość. Wszystkie one wypływają z siebie nawzajem, ale stanowią także nierozzerwalny konglomerat z metafizyczną wizją wszechświata. Starcy są uosobieniem pamięci – pamięci o tym, co było, a zarazem będzie. Są świadkami odwiecznych praw rządzących światem, porządku, w którym każdy znajduje swoje miejsce, „kosmosu”, przez co stanowią rękojmię trwałości i niezmienności... Stąd wynika poczucie pewności, bezpieczeństwa i możliwość odważnego patrzenia w przyszłość. W tym sensie starcy są dla społeczeństwa oparciem. Co do mądrości, jaką tradycja przypisuje przodkom, nie ma chyba piękniejszego wyrazu niż zdanie Jana z Salisbury, który *notabene* przypisywał je Bernardowi z Chartres, mówiącego o swoim pokoleniu: *jesteśmy jak karty siedzące na barkach olbrzymów; widzimy więcej i dalej, ale nie dlatego, że mamy lepszy wzrok lub jesteśmy wyżsi, ale dlatego, że tamci podnoszą nas i dźwigają wzwyż*<sup>1</sup>. Zaś nastawienie tradycyjnej kultury na przyszłość, na cel, spełnienie życia dokumentują chociażby obrazy Velázquezego albo też rodzime portrety trumienne, na których widzimy małe dzieci, infantki, delfinów czy sarmackich potomków polskich rodów, które wyglądają dużo dojrzej w strojach i fryzurach osób dorosłych upozowane na damy bądź rycerzy. Wrażenie, jakie sprawia nieproporcjonalność ich ciał, powoduje, że jedynie delikatność rysów twarzy i niewinność ich oczu odróżniają owe

<sup>1</sup> Por. Jan z Salisbury, *Metalogicon*, III 4, 900 c, wyd. J. B. Hall, Turnholti 1991.

<sup>2</sup> J.-J. Rousseau, *Emil*,  
Warszawa 1955, s. 4.

<sup>3</sup> Tamże.

<sup>4</sup> [...] *wbrew powszechnemu mniemaniu, że wychowawca dziecka powinien być młody, a nawet tak młody, jak tylko być może człowiek zrównoważony. [...] żeby mógł się stać towarzyszem swego uczucia i zdobyć sobie jego zaufanie, dzieląc jego rozrywki [...]. Ludzie uważają, że wychowawca winien już mieć za sobą doświadczenie dokonanego wychowania. Jest to zbyteczne; ten sam człowiek poprowadzić może jedno tylko wychowanie; gdyby do powodzenia niezbędne było czynić to po raz drugi, to jakim prawem podejmowalibyśmy to po raz pierwszy?*, tamże, ss. 29-30.

<sup>5</sup> Tamże, s. 29.

<sup>6</sup> Tamże, s. 7. *Do tych skłonności pierwotnych należałoby wszystko stosować [...] cóż jednak czynić, kiedy [...] zamiast wychowywać człowieka dla niego samego, chce się go wychować dla innych?*, tamże, s. 11.

wizerunki dzieci od portretów wysoko urodzonych karłów. Fakt, że w ten sposób przedstawiano nawet zmarłe dzieci, które już nigdy nie osiągną wyobrażonej postaci, wskazuje, że widziano w nich przede wszystkim przyszłych dorosłych, osoby dojrzałe, które dosięgły pełni, celu swojego życia.

W tym kontekście nie dziwią nas zatem słowa Jeana-Jacquesa Rousseau, które zamieścił w *Emilu*, traktacie poświęconym nowej metodzie wychowania: *nie znamy zupełnie dzieciństwa*<sup>2</sup>. Mniej więcej wtedy bowiem, w dobie oświecenia, perspektywa zaczęła się stopniowo zmieniać, a za wartość nadrzędną zaczęto uznawać młodość. U podstaw takiej zmiany legły poglądy Rousseau. I choć upłynęło jeszcze wiele wody w Sekwanie, zanim jego przekonania stały się powszechnie akceptowane, to właśnie dzieciństwo stawało się od tamtej pory tajemnicą godną odkrywania, *taboo* wartym przełamywania, zaś młodość, ta wyidealizowana, punktem zafiksowania i obietnicą raj.

Nowa metoda wychowawcza miała się opierać na naturalnych zdolnościach dziecka. Wychowawca nie powinien dziecka kształtować, a raczej stwarzać warunki do samorozwoju. Jego praca nie ma przypominać pracy ogrodnika przycinającego gałązki czy wycinającego alejki w ogrodzie francuskim, a raczej aranżującego plenery dla pozostawionych swobodnemu rozwojowi drzew i krzewów w ogrodzie angielskim. Właśnie w *Emilu* Rousseau zarzucił mędrcom, że *szukają [oni] [...] w dziecku człowieka, nie myśląc o tym, czym jest ono, zanim jeszcze stanie się człowiekiem*<sup>3</sup>. Tak więc również wychowawcą powinien być człowiek możliwie jak najmłodszy<sup>4</sup>. Mędrzec traci zatem swoją niezachwianą jak dotąd pozycję. A jakby tego było mało, dodał: *Dzieci schlebiają czasem starcom, ale nie lubią ich nigdy*<sup>5</sup>.

Skąd taka zmiana? Z przyjętej *a priori* dychotomii między naturą a kulturą – społeczeństwem. Rousseau podzielał tradycyjnie pozytywny stosunek do natury (jakkolwiek rozumianej), wyłomu natomiast dokonał w podejściu do relacji człowiek – społeczeństwo, uznając to drugie za przyczynę wszelkiego zła i zepsucia. Możemy to podsumować następującym zdaniem z *Emila*: *Wszystko wychodząc z rąk Stwórcy jest dobre, wszystko wyrodnieje w rękach człowieka*<sup>6</sup>.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Zgodnie z analizami Zygmunta Freuda z początku XX wieku kultura już nie tylko

psuje człowieka, ale staje się wręcz jego wrogiem, urastając do zasadniczego źródła jego cierpień. W artykule z 1930 roku pod znamienym tytułem *Kultura jako źródło cierpień* stwierdził on: *odpowiedzialność za naszą dzisiejszą nędzę ponosi tak zwana kultura*<sup>7</sup>. Skąd takie przekonanie? Otóż współczesny człowiek *nie może znieść rozmiaru wyrzeczeń, jakie nakłada nań społeczeństwo, zaprzęgając go w służbę swych ideałów kulturowych*<sup>8</sup>. Postęp cywilizacyjny sprawia bowiem, że właściwy człowiekowi *pęd do wolności* napotyka na nieprzewidywalny opór wymogów kultury<sup>9</sup>. [...] *nie sposób nie dostrzec* – pisał Freud – *w jakiej mierze kultura zbudowana jest na wyrzeczeniu się popędu, w jak dużym stopniu przesłanką istnienia kultury jest niezaspokojenie (stłumienie, wyparcie czy cokolwiek jeszcze) potężnych popędów*<sup>10</sup> i dodał, że *za postęp w kulturze płacimy utratą szczęścia* i wzmagającym się poczuciem winy<sup>11</sup>. Kultura w jej obecnym stanie budzi zatem nie tylko głębokie niezadowolenie<sup>12</sup>, ale jest zarazem przejawem neurotycznego stanu człowieka<sup>13</sup>. Z tych obserwacji słynny psychiatra wyciągnął konkretne wnioski: *bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy wyrzekli się kultury i znaleźli się z powrotem w warunkach pierwotnych*<sup>14</sup> oraz: *znajdziemy się z powrotem w sytuacji umożliwiającej zażywanie szczęścia zaraz wtedy, gdy tylko zlikwidujemy te wymogi czy tylko znacznie je obniżymy*<sup>15</sup>.

A co z naturą? W przeciwieństwie do Rousseau Freud nie obiecywał już ukojenia w powrocie na łono natury. Już z tego samego tekstu dowiadujemy się, że proces dojrzewania polega właśnie na odkrywaniu, że świat jest zły i obcy. Niemowlę jeszcze nie odróżnia świata zewnętrznego od swego „ja”, uczy się tego na drodze doświadczenia. A asumpt do tego dają mu *częste, różnorodne i nieuniknione doznania bólu i braku rozkoszy, których pojawienie się znosi i usuwa panującą bez żadnych ograniczeń zasadę rozkoszy*<sup>16</sup>. Wyodrębnionemu w ten sposób „ja” przeciwstawia się obce, groźne zewnętrzne<sup>17</sup>. *Życie – w takiej formie, w jakiej musimy dźwigać jego brzemień* – twierdził Freud – *jest dla nas ciężkie, przynosi nazbyt wiele bólu, rozczarowań, nierozwiązalnych zadań. Aby to znieść, nie możemy obyć się bez środka uśmierzającego*<sup>18</sup>. Wśród tych środków wymieniał aktywność naukową, sztukę, środki odurzające, a nawet – jakżeby inaczej – religie. Skuteczność ich jest jednak tylko prowizoryczna.

<sup>7</sup> S. Freud, *Kultura jako źródło cierpień* [w:] tenże, *Pisma społeczne*, opr. R. Reszke, Warszawa 1998, s. 182.

<sup>8</sup> Tamże, s. 183.

<sup>9</sup> Por. tamże, s. 190.

<sup>10</sup> Tamże, s. 191.

<sup>11</sup> Por. tamże, s. 218.

<sup>12</sup> Por. tamże, s. 182.

<sup>13</sup> Por. tamże, s. 183.

<sup>14</sup> Tamże, s. 182.

<sup>15</sup> Tamże, s. 183.

<sup>16</sup> Tamże, s. 168.

<sup>17</sup> Por. tamże, s. 168.

<sup>18</sup> Tamże, s. 173.

Istnieją również różne strategie radzenia sobie z bólem życia. Jedną z nich jest odwrócenie się od rzeczywistości, z którą nie sposób wytrzymać. Poprzez tę strategię „eremity” osiąga się szczęście spokoju i przynajmniej nie doznaje cierpienia<sup>19</sup>. Jednak inny, *lepszy*, według Freuda, *sposób poradzenia sobie z tym zadaniem – polega [...] na tym, że jako członek społeczności ludzkiej człowiek za pomocą prowadzonej przez naukę techniki przechodzi do ofensywy przeciwko naturze i poddaje ją własnej woli*<sup>20</sup>. Pierwszy cios roli starca, mędrca, mistrza zadał Rousseau, mówiąc, że nawet w wychowaniu zbyteczne jest jego doświadczenie. Później Freud dodał kolejny argument. We współczesnym, stechnicyzowanym świecie górą jest ten, kto lepiej panuje nad techniką, a zatem ma większe szanse powodzenia w owej *ofensywie przeciwko naturze*. Z horyzontu zniknęły cele ostateczne, odwieczne prawdy, cała ta „metafizyka”, której nabywało się z czasem, a po której przewodnikiem był starzec. Dzisiaj ktoś, kto nie ma wiedzy na temat techniki, coraz bardziej nowoczesnej i skomplikowanej, ten – w gruncie rzeczy – nie ma w ogóle nic ważnego do zaoferowania. Wizja metafizycznej pustyni idzie tu w parze z upadkiem idei starca we współczesnym życiu społecznym.

Nie ma tu potrzeby szczegółowego analizowania konsekwencji Freudowskiej „filozofii” dla życia intelektualnego współczesności. Każdy z nas ma przecież osobisty ogląd przynajmniej dwu pokoleń – rodziców i dziadków, a może i pradiadków, którzy deprecjonują wartość przeszłości, a więc również siebie samych jako tych, którzy nieuchronnie sami, prędzej czy później, przejdą do przeszłości. Na ogół czynią to nieświadomie, w imię idei – idei postępu. Ileż to razy słyszeliśmy „oświeceniowe” slogany na temat głupoty czy zacofania poprzednich pokoleń albo o zabobonie i ciemnogrodzie. Z drugiej strony często widzimy zapewnienia tych, którzy dziś mogliby pretendować do miana starców: nie jesteśmy jeszcze tacy starzy, całkiem nieźle dajemy sobie radę, jeszcze nadążamy za współczesnością, za współczesną technologią, za tym, co umyka. Pożałowania godna defensywa, dramatyczne wołanie o miejsce w społeczeństwie, które coraz częściej definiuje los człowieka starego jako „bycie-ku-eutanazji”.

Zapytajmy teraz, dlaczego w XIX wieku taką popularnością cieszyli się świątobliwi starcy. Słynna Pustelnia Optyńska stała

<sup>19</sup> Por. tamże, s. 178.

<sup>20</sup> Por. tamże, s. 174.

się wtedy miejscem pielgrzymek i ośrodkiem życia duchowego dla Rosjan – w tym wielu rosyjskich intelektualistów, których twórczość odcisnęła swoje piętno na sposobie myślenia ludzi epoki – nie tylko w Rosji, ale i na Zachodzie. Byli to: Lew Tołstoj, Mikołaj Gogol, Konstantin Leontiew, Władimir Sołowjow i przede wszystkim Fiodor Dostojewski<sup>21</sup>. Choć genezy starców należy szukać już w okresie egipskich Ojców Pustyni z IV wieku, to idea starcostwa, która przez Bizancjum przyszła do Rosji, właśnie w ich czasach cieszyła się szczególną popularnością, a ruch pustelniczy przeżywał wtedy swoje odrodzenie. Wśród najbardziej znanych starców należy wymienić założyciela Optyny Paisjusza Wieliczkowskiego (1722–1794), a także Makarego Iwanowa (1788–1860), Ambrożego Grienkowa (1812–1891) oraz Zacharego Wierchowskiego, który zasłynął pod imieniem świątobliwego Zosimy. To on oraz znany Dostojewskiemu z pism biskup Woroneża Tichon Zadoński (1724–1783) stali się protoplastami słynnej literackiej postaci starca Zosimy z powieści *Bracia Karamazow*<sup>22</sup>. Cóż zatem mogło być przyczyną „powrotu” starców? Czy nie reakcja na nieludzki, pozbawiony metafizycznego oddechu, stechnicyzowany świat po rewolucji przemysłowej? *Niežnośna lekkość bytu?*

Na ten trop wskazywałby pewien szczegół z biografii Fiodora Dostojewskiego. Na pisarzu bowiem jednoznacznie negatywne wrażenie zrobiła londyńska wystawa osiągnięć techniki z 1862 roku, co podsumował słowami: *Nauka materialistów, ogólny zastój i sprowadzenie materii do mechanizmu, a więc śmierć*<sup>23</sup>. Odtąd już zawsze zżymał się na autorytet nauki, która wyłącza człowieka z odpowiedzialności. W 1875 roku napisał m.in. *Nauka w naszym stuleciu obala wszystko, w co dotychczas wierzone. Każda twoja zachcianka, każdy twój grzech jest wynikiem twoich przyrodzonych potrzeb, które nie zostały zaspokojone, więc tak to wygląda, trzeba je zaspokoić. Radykalne zaprzeczenie chrześcijaństwa i jego moralności. Chrystus nie znał nauki*<sup>24</sup>.

A co na to starcy?

Trudno o bardziej radykalne zaprzeczenie tej postawy. Byli oni nie tylko głębokimi znawcami ludzkich serc – jak wyraziła to Anna Dostojewska<sup>25</sup>, ale także otwierali na tę rzeczywistość, którą nauka starała się wyprzeć z ludzkiej świadomości. Ich „nauka”

<sup>21</sup> Por. I. Cieślak, *Starcy Pustelni Optyńskiej*, Kraków 2012, zaś na temat wizyty Dostojewskiego w Pustelni Optyńskiej: A. Dostojewski, *Wspomnienia*, przeł. Z. Podgórzec, Wrocław 1997, cz. IX (1878–1879), ss. 305–306.

<sup>22</sup> Por. *Historia Literatury Rosyjskiej*, red. M. Jakubiec, Warszawa 1976, t. II, ss. 299–301.

<sup>23</sup> *Z notatników*, wyb. i tłum. Z. Podgórzec, Czytelnik 1979, s. 31 [za:] J. Salij [w:] *Rozpacz pokonana*, Poznań 1998, s. 184.

<sup>24</sup> *Nieizdannyj Dostojewskij*, Moskwa 1971, s. 446 [za:] C. Miłosz, *Ziemia Ulro*, Kraków 1994, s. 67.

<sup>25</sup> Zob. A. Dostojewska, *Wspomnienia*, przeł. Z. Podgórzec, Warszawa 1988, s. 293.

niepokoila i intrygowala<sup>26</sup>, pokazywala czlowieka przede wszystkim jako istotę wolną – a tym samym obarczala go ciężarem, od którego uwolnić go zamierzala nowoczesność. Tak, obciążala ciężarem, to jest prawem, które przecież Freud uznawal za źródło cierpienia i które wydawalo się nie do udźwignięcia. Mało tego, ojcowie wzywali do czegoś jeszcze więcej: *obarcz siebie odpowiedzialnością za wszystkie grzechy czlowieczy. Przyjacielu, przecież tak jest naprawdę, albowiem ledwo uczynisz się szczerze odpowiedzialnym za wszystkich i wszystko, natychmiast zobaczysz, że tak jest w istocie rzeczy i że ty właśnie za wszystkich i za wszystko ponosisz winę*<sup>27</sup>. Zadanie to przekracza ludzkie możliwości, ale jednocześnie wskazuje na pozanaturalne, transcendentne źródło jego wypełnienia, łaskę Jezusa Chrystusa – *gdyż korzenie naszych myśli i uczuć tkwią nie tu, lecz w innych światach* – jak twierdzi powieściowy ojciec Zosima<sup>28</sup>. I słusznie zauważył Olivier Clément, że *cywilizacja, w której ludzie już się nie modlą, jest cywilizacją, w której starość nie ma sensu. Ludzie idą tyłem ku śmierci, udając młodość; jest to bolesny spektakl, ponieważ zostaje dana możliwość ostatecznego wyrzeczenia się i ofiarowania siebie, ale nie*

<sup>26</sup> Rozmowa Iwana Karamazowa ze starcem Zosimą:

– Błogosławiony jesteś, kiedy tak wierzysz, albo już bardzo nieszczęśliwy!

– Dlaczego nieszczęśliwy? – uśmiechnął się Iwan Fiedorowicz.

– Albowiem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie wierzy pan ani w nieśmiertelność swej duszy, ani nawet w to, coś napisał o Kościele i o sprawie kościelnej.

– Może nie mylisz się, ojczel!... Jednakże nie zupełnie żartowałem... – przyznał Iwan Fiedorowicz, dziwnie czerwieniąc się przy tym.

– Niezupełnie pan żartował, to prawda. Idea ta nie jest jeszcze rozstrzygnięta w pańskim sercu i dręczy je. Ale czasem męczennik lubi poigrać swoją rozpaczą, też jak gdyby z rozpaczą. Chwilowo zabawia się pan z rozpaczą artykułami dziennikarskimi i dyskusjami w salonach, sam nie wierząc w swoje wywody, śmiejąc się z nich z goryczą... W panu kwestia ta nie jest rozstrzygnięta i to właśnie jest pana wielka udręka, albowiem usilnie domaga się pan rozstrzygnięcia...

– A czy może być we mnie rozstrzygnięta? Rozstrzygnięta twierdząco? – znowu dziwnie zapytał Iwan Fiedorowicz, patrząc na starca z jakimś zagadkowym uśmiechem.

– Jeśli nie może rozstrzygnąć się w sensie twierdzącym, to nigdy też nie rozstrzygnie się w sensie przeczącym: sam pan zna właściwość swego serca; i to pana najbardziej dręczy,

F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, tłum. A. Wat, t. I, Londyn–Warszawa 1993, ss. 86-87.

<sup>27</sup> Tamże, s. 357.

<sup>28</sup> Tamże, s. 440.

jest wykorzystana<sup>29</sup>. Starość jest po to, aby się modlić<sup>30</sup>. W tym stwierdzeniu kryje się wyraźny paradoks tego stanu. Starość budzi z jednej strony sprzeciw, nie jest łatwa do przyjęcia, bo nierzadko brutalnie przypomina o zbliżającym się końcu, ale z drugiej... [...] *w starości odczuwa się Boga poprzez coraz cieńszą ściankę życia biologicznego i człowiek staje się jak świadome dziecko, które powierza się Ojcu, ukojone bliskością śmierci, przenikliwe na inny rodzaj światła*<sup>31</sup> – w ten sposób można być darem dla innych.

Taki właśnie jest dar, który starcy mają dla świata; na tym polega specyficzna posługa starcostwa – nakładanie jarzma. Kto je przyjmuje, ten prawdziwie staje się starcem. Fakt zatem, że refleksja na temat starcostwa zrodziła się z obserwacji wydarzenia liturgicznego, nie jest wcale przypadkiem. Między liturgią a starcostwem istnieje bowiem ścisły związek. Jaki?

Otóż liturgia – służba Boża – to także jarzmo, które się nakłada. Jarzmo i to jarzmo, prawo słodkie i lekkie (por. Mt 11, 30). Tymczasem my nie tylko prawo, ale wszelką presję zewnętrzną, kulturę w ogóle zidentyfikowaliśmy za Freudem jako źródło cierpień. Mało to razy słyszeliśmy, że liturgia i cała ta zachodnia religijność zbyt mocno naznaczona jest prawniczą mentalnością? A przecież w liturgii nie chodzi o pełnienie własnej woli. Całkowicie dają się tu zastosować słowa Jezusa: *gdy byłeś młodszy, sam się przepasywałeś i chodziłeś, dokąd chciałeś, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię przepasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz* (J 21, 18). Sprawować liturgię to dać się przepasać i poprowadzić tam, gdzie się nie chce. Do tego potrzebne są mądrość i pokora starca.

Tymczasem kieruje się w stosunku do liturgii postulaty jej „odmłodzenia”, uwspółcześnienia. Idą one w sukurs Freudowskiej sugestii odrzucenia kultury, a także poddania się przymusowi realizowania popędów. Postulaty te są następnie skrzętnie podejmowane przez tych, którzy nie mają ochoty dać się przepasać i poprowadzić. Przypomnijmy sobie chociażby wspomnianą atmosferę Mszy w Rio, brazylijskie rytmy w częściach stałych, atmosferę pikniku, nie mówiąc już o nonszalancji w podejściu do prawa liturgicznego. A przecież w słowach liturgii: *Introibo ad [...] Deum qui laetificat iuventutem meam* chodzi o młodość nie w sensie niedojrzałości, tylko raczej wigoru, wesela, żywej

<sup>29</sup> O. Clément [za:]

I. Cieślak, *Starcy Pustyni Optyńskiej*, Tyniec 2012, s. 11.

<sup>30</sup> Por. tamże.

<sup>31</sup> Tamże.

i radosnej relacji z Bogiem. Słowa te wypowiadają tak ministranci, lewicy, jak i kapłani, a w Mszach dialogowanych także wierni – i to bez względu na wiek metrykalny. Postulaty odmłodzenia liturgii są paradoksalne, bo ta relacja – o którą chodzi – wymaga ostatecznie dojrzałości, będącej przecież domeną starców, a do której prowadzi sama liturgia. Więcej nawet, liturgia jest „stara” ze swej istoty – z natury jest „przestarzała”, i to w każdej epoce – bo jest częścią tradycji *par excellence*, przekazu, który dokonuje się w obrębie Trójcy Świętej *przed wszystkimi wiekami* i który jest następnie kontynuowany poprzez Wcielenie Słowa Bożego – jest więc ona, liturgia, obecnością Boga w historii człowieka. Przypomnijmy sobie etymologię greckiego słowa *presbyteros* – starszy, starszy wiekiem lub urzędem, starszy wspólnoty, przodek. Oznacza to, że bez starców liturgia nie istnieje.

No cóż, żyjemy w czasach, kiedy starzy z lubością demonstrują gębę Młodziaków, młodych zaś stawia się w sytuacji Józia z Gombrowiczowskiej *Ferdydurke: Więcej naturalności, więcej życia, proszę spojrzeć na mnie i na Zutę – no, ale oduczmy młodego człowieka, niech pan będzie spokojny, profesorze. Damy mu szkołę*<sup>32</sup>. Próżno Józio oczekuje tego, czego ma prawo od „starych” oczekiwać. Próżno możemy się dzisiaj spodziewać jakiejś właściwej starcom mądrości, odkrycia przed nami nawet okrucieństwa tajemnicy, oświecenia drogi, choćby o krok lub dwa przed nami. Owszem, również Ojcowie Pustyni mieli w zwyczaju unikać wścibskich gości domagających się od nich nauki. Kiedy jednak młodzi już otrzymali takie „słowo”, to było ono tej wagi, że często przemieniało całe ich życie. Inaczej współczesny starzec. Dzisiejszy nestor chętnie spotyka się z młodymi, zwłaszcza w miejscach eksponowanych medialnie. A co ma im ważnego do przekazania? Otóż... nic. *Niczego nie mam wam do przekazania* – powiedział ks. Adam Boniecki otoczony tłumem młodzieży na Przystanku Woodstock. – *Róbta, co chceta*<sup>33</sup>. A wszystko to pod pretekstem dowartościowania młodego pokolenia. Takie przecenianie jego roli, pokładanie w nim wszelkich nadziei to jest dopiero ciężar

<sup>32</sup> W. Gombrowicz, *Ferdydurke*, Kraków 1997, s. 111.

<sup>33</sup> Wypowiedź ks. A. Bonieckiego na spotkaniu z młodzieżą na Przystanku Woodstock w sierpniu 2013 roku, por. [http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114871,14377515,Ks\\_\\_Boniecki\\_na\\_Woodstocku\\_\\_nie\\_przyjechalem\\_tu\\_niczego.html](http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,114871,14377515,Ks__Boniecki_na_Woodstocku__nie_przyjechalem_tu_niczego.html) [8.03.2014].

nie do udźwignięcia, ciężar naprawdę przytłaczający. Nie otrzymawszy od poprzedników żadnego pozytywnego dziedzictwa, niczego, żadnej afirmacji, czegoś, co dawałoby poczucie wartości i stałości, nie może ono nie być załęcznione i narcystycznie skupione na sobie. Nie powinna zatem dziwić owa zależność między deficytem starców a starzeniem się społeczeństwa.

Zwłaszcza że życie pisze smutną pointę. Z jednej bowiem strony docierają do nas słowa członków konsystorza Kolegium Kardynałów – współczesnego „zgromadzenia gerontów” – które ignorując perspektywę nadprzyrodzoną, odbierają nadzieję na realną przemianę życia i deprecjonują prowadzące doń wysiłki poprzez podsuwanie pomysłu dopuszczenia do Komunii osób żyjących w związkach cywilnych po uprzednim rozpadzie małżeństwa kościelnego<sup>34</sup>. Oto przykład lekcji wyciągniętej z Freudowskiej psychoanalizy – mające przynieść ulgę cierpieniu obniżenie wymogów społecznych. Tym bardziej złowieszczo brzmią tu słowa Clémenta o współczesnych starcach: *idą tyłem ku śmierci, udając młodość*.

Dziwnie koreluje to z drugim wydarzeniem, które miało miejsce w Belgii – uchwaleniem ustawy zezwalającej na eutanazję dzieci. Bo skoro nie ma nic większego niż osobiste cierpienie, nic, dla czego warto by znosić cielesny czy egzystencjalny ból, to czy możliwy jest w ogóle większy od tego przejaw „miłosierdzia”? To jest koniec, którego wypatrujemy?

Moje wezwania do Światowych Dni Starcostwa nie można oczywiście traktować dosłownie – tym bardziej że wydarzenia, takie jak spektakularne „złoty” o charakterze światowym, są specyficznie młodzieżowym sposobem aktywności. Chodzi przede wszystkim o apel: *Potrzeba nam starców! – bo tylko oni mogą pokazać młodym, że warto żyć i że nicość nie jest ostatnim słowem*<sup>35</sup>.

Cóż dodać więcej. Może tylko to: *Znudziło mi się. Żegnaj, nowoczesna, żegnajcie, Młodziakowie i Kopyrdo, żegnaj Pimko – nie, nie żegnajcie, bo jakże żegnać się z czymś, czego już nie ma*<sup>36</sup>. ■

<sup>34</sup> Mowa o wystąpieniu kard. W. Kaspera w sprawie dopuszczenia do Komunii św. osób rozwiedzionych i żyjących w kolejnych związkach, por. <http://papiez.wiara.pl/doc/1901716.Kard-Kasper-chce-zmiany-etyki-seksualnej> [8.03.2014].

<sup>35</sup> O. Clément [za:] I. Cieślik, dz. cyt., s. 12.

<sup>36</sup> W. Gombrowicz, dz. cyt., s. 176.